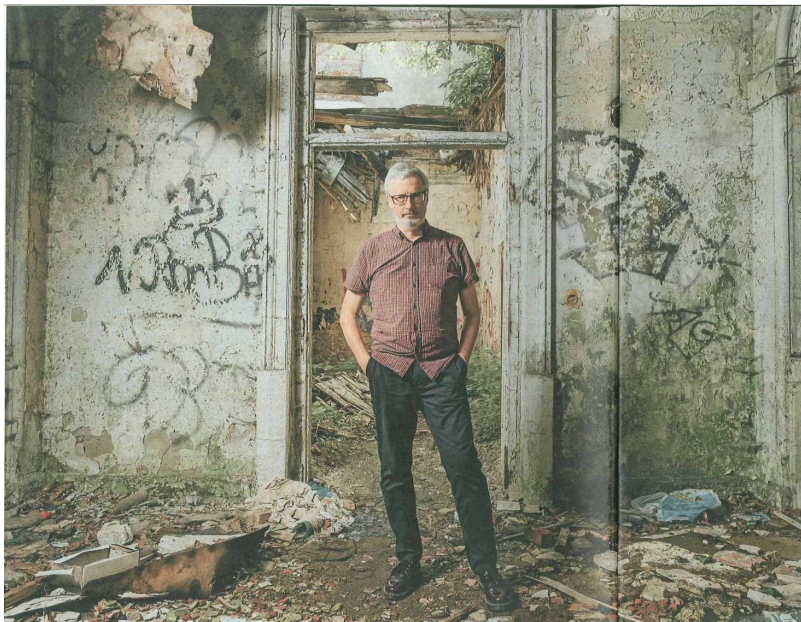


Jacek Tomczuk, Newsweek, nr 28, 12-18.07.2021 r.



Polacy są przekonani, że pomagali Żydom masowo, altruistycznie. A ci, którzy ewentualnie zabijali, to nie byli Polacy, tylko jakieś szumowiny, motłoch, męty. Polak katolik nie może być zły z definicji - mówi prof Jacek Leociak

Prof. Jacek Leociak w ruinach willi przy ul. Granicznej w Konstancinie, 8 lipca 2021 r.

NEWSWEEK: Gruz pod ambasadą Izraela, napis „Żydzi Żydom zgotowali ten los” na rampie kolejowej w Falenicy, zniszczenie 67 mogił na cmentarzu żydowskim w Bielsku-Białej. To wydarzenia z jednego tygodnia. Ma pan poczucie porażki?

PROF. JACEK LEOCIAK: Dlaczego?

Od 30 lat pisze pan o Holokauście, prace naukowe, łatwiejsze w odbiorze eseje, są wystawy, odczyty. I nic.

- To straszne, co się dzieje, ale nie traktuję tego jako porażki. Po prostu zdaję sobie sprawę z siły antysemitycznych stereotypów i ich długiego trwania. Nie winię siebie, bo moje działanie też jest obliczone na długie trwanie. Jestem wkurwiony na tych, którzy napisali te słowa na rampie, z której w 1942 r. wywieziono do Treblinki ok. 8000 Żydów. Ale jeszcze bardziej jestem wściekły na tych, którzy rozpalają takie emocje. I że jest na to przyzwolenie. Po co majstrować przy prawie reperywizacyjnym? Dlaczego stowarzyszenie Straż Narodowa i Marsz Niepodległości, których szefem jest Robert Bąkiewicz, narodowiec, noszący na ramieniu opaskę ze znakiem Falangi, dostaje trzy miliony złotych z tzw. Funduszu Patriotycznego? W Polskę idzie sygnał, że takie postawy są promowane.

Dlaczego tak łatwo zagrać u nas kartą antysemityczną?

- Można zadać inne pytanie: dlaczego każde przypomnienie, że jest coś takiego jak własność żydowska, że może żyją spadkobiercy, wywołuje taki niepokój? Choć po większość tej własności nikt się nie zgłasza i nie zgłosi? Lęk jest łatwo wytłumaczalny: w tysiącach domów są rzeczy, które należały przed wojną do żydowskich rodzin. Tysiące rodzin mieszkają w domach, które nie należały do nich, ktoś przynosił z opuszczonych żydowskich mieszkań do siebie meble, ktoś przejmował warsztaty.

Czego się boimy?

- Że źródła obecnego ładu majątkowego tkwią w Holokauście, a Żydzi nie zniknęli, tylko zostali wymordowani. To lęk przed mickiewiczowskim Upiorem, kimś, kto jest jednocześnie żywy i umarły. „Na świecie znowu, ale nie dla świata”. Zresztą gdy w 1945 r. wracali do domów nieliczni Żydzi, którzy przeżyli, byli traktowani jak upiory. Michał Głowiński opisywał, że kiedy wrócił z cudem ocalałą rodziną do Pruszkowa, jego dziadek, który miał skład desek, wyjął księgę z wykazem udzielonych przed wojną drobnych kredytów i zaczął odwiedzać dłużników. Raz wziął wnuka na taką wyprawę. „To pan żyje?” - powtarzało się pytanie. Oczywiście nikt nie oddał pieniędzy, tłumacząc, że nie ma, może później. Ale on już nie podejmował tych prób.

W polską tradycję wpisany jest heroiczno-męczeński model bohatera. Im bardziej nas krzywdzą, tym bardziej jesteśmy niewinni i szlachetni. To ma wielkie znaczenie do dzisiaj. Widzimy, jak się cynicznie gra tą kartą, jak prowadzi się licytację na martyrologię. Kto był większą ofiarą II wojny światowej, kto więcej wycierpiał? Polacy czy Żydzi?

A liczą się jakieś fakty?

- Nie bardzo. Fakty uderzają w samo centrum naszej wyobrażonej tożsamości. Jeśli ktoś bada stosunki polsko-żydowskie w czasie Zagłady i wspomni o zaborze tzw. mienia pożydowskiego, wydawaniu i zabijaniu Żydów, natychmiast jest wyprowadzana kontra: to przecież my byliśmy niewinną ofiarą Niemców, a poza tym to myśmy ratowali Żydów, mamy najwięcej Sprawiedliwych. A skoro byliśmy ofiarą, to nie mogliśmy być katami czy grabieżcami naszych żydowskich sąsiadów. Gremialnie im pomagaliśmy, więc jesteśmy czysti.

W dużym badaniu CBOS przeprowadzonym na zlecenie naukowców z Uniwersytetu Jagiellońskiego 82 procent badanych powiedziało, że Polacy pomagali Żydom na tyle, na ile mogli, a tylko 14 procent, że mogli więcej. Cierpieliśmy tak samo.

- Polacy są przekonani, że pomagali masowo, altruistycznie, a ci, którzy ewentualnie zabijali, to nie byli Polacy, tylko jakieś szumowiny, motłoch, męty. Polak katolik nie może być zły ex definitione. Ale to wszystko było znacznie bardziej złożone, tylko nie chcemy tego zobaczyć.

Psychoanalityczka Melanie Klein pisze o dwóch postawach: depresyjnej z jednej oraz schizoidalno-paranoidalnej z drugiej strony. Najkrócej mówiąc, pozycję depresyjną znamionuje przyjęcie postawy krytycznej w stosunku do siebie i narodowej tradycji. To pozwala na osiągnięcie dojrzałej, refleksyjnej postawy wobec własnej historii: niejednoznacznej, zawiłanej. Natomiast pozycja schizoidalno-paranoidalna konserwuje historyczne traumy, zamyka się w kulcie śmierci, cierpienia, krzywdy. Z tego zakłętego kręgu nie ma wyjścia, ponieważ celebrowanie poniesionych klęsk przynosi rozkosz, przemienia katastrofę w zwycięstwo i chroni przed konfrontacją z własną słabością. Akceptacja ambiwalencji w swoim życiu i w historii jest dowodem na dojrzałość człowieka. A postrzeganie świata w kategoriach czarno-białych to nieprzyjęcie do wiadomości złożonej prawdy. Itak widzą swoją historię Polacy: albo Westerplatte, albo Jedwabne.

Tak samo nie potrafimy spojrzeć realistycznie na historię relacji polsko-żydowskich?

- Dominuje nostalgia za przedwojennymi miasteczkami, wypełnionymi Żydami, z którymi świetnie się dogadywaliśmy. A potem ni stąd, ni zowąd następuje ten straszny Holokaust. A gdzie antysemityzm, pogromy, rywalizacja ekonomiczna (przedwojenne hasło: „swój do swego

po swoje”), ograniczanie praw, plany masowej emigracji Żydów z Polski? Jest jeszcze jeden kontekst. Nie może być dwóch narodów wybranych obok siebie. Żydzi są od tysięcy lat biblijnym narodem wybranym, ale Polska, jak uczy nas romantyczny mesjanizm, jest przecież Chrystusem Narodów.

Walić bez owijania w bawełnę czy delikatnie, żeby nie bolało? Jak mówić o tych relacjach w Polsce?

- To stały dylemat. Kiedyś byłem zwolennikiem pierwszej metody, ale dzisiaj już nie jestem taki pewien. Ostra konfrontacja powoduje wycofanie się drugiej strony, zamknięcie na prawdę. Jeśli chce się wpłynąć na świadomość ludzi, powinno się o tym pamiętać. Na poziomie ogólnonarodowej publicystyki społecznej, historycznej jako Jacek Leociak piszę mocno, bez znieczulenia. Ale na poziomie lokalnym trzeba być bardziej taktykiem, raczej budować porozumienie niż gwałtownie burzyć zastane wyobrażenia.

Jest pan współautorem książki „Warszawski trójkąt zagłady”. To fotograficzno-historyczne sprawozdanie z wizyty w trzech kluczowych dla getta warszawskiego miejscach: zespole szkół przy ul. Stawki 10, który był częścią Umschlagplatzu; budynku Wydziału Psychologii UW, gdzie była komenda oddziału SS, i kamienicy przy Żelaznej 103, gdzie urzędowali wykonawcy Wielkiej Akcji Likwidacji, która się zaczęła 22 lipca 1942 r. Po co chodzić do tych miejsc, przecież pan doskonale wie, co tam się wydarzyło?

- Dla mnie wiedzieć to za mało. Zobaczyć, jaka jest szerokość korytarzy, rozkład drzwi, schodów, dotknąć ścian pomieszczeń, gdzie 300 tysięcy Żydów z getta czekało na transport do Trebinki - zawsze o tym myślałem. Chodziłem po korytarzach, wdychałem zapach z roku 2020. Cały eksperyment poznawczy polegał na tym, żeby doświadczyć tych miejsc dzisiaj.

Poza tym samo istnienie tych budynków jest paradoksem. Wiemy, że z warszawskiego getta nie zostało prawie nic, jakieś ostańce, które zresztą nikną niczym lodowce na Antarktydzie. I mieć w Warszawie trzy budynki w całości, które na dodatek funkcjonują w rolach, w jakich zostały zbudowane i były 80 lat temu kluczowymi miejscami zagłady Żydów. Ze świadectw wynika, że ludzie, czekając na transport, ryli napisy na ścianach szkolnych klas: nazwiska, imiona, apele o zemstę... Artur Żmijewski, który robił zdjęcia, odkręcał nawet boazerię, żeby sprawdzić, czy coś zostało. Ale tuż po wojnie część budynku została przejęta przez spółdzielnię Społem, która od razu zrobiła remont, skuto ściany do cegły.

Dziwi się pan?

- Nie, chcieli mieć ładnie.

Pytanie, czy gdyby to było miejsce, gdzie zginęło 300 tysięcy Polaków, też by tak zrobiono?

- Właśnie. W alei Szucha, w dzisiejszym gmachu Ministerstwa Edukacji Narodowej, podczas II wojny siedzibę miało gestapo, zatrzymani czekali na przesłuchania w celach bez okien. I też ryli napisy na ścianach. Pomimo wielu remontów są one zachowane do dzisiaj jak relikwie. To kluczowe pytanie: czy można było skuć żydowskie napisy, ale już polskich nie?

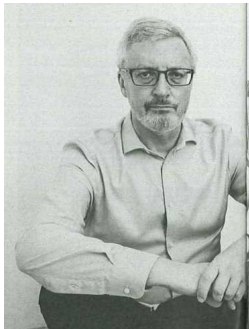
Wydział Psychologii UW niedługo się wyprowadza z tamtego budynku. Może trzeba tam zrobić muzeum?

- Tylko nie to! Muzeum czy tablica sprawia, że temat pamięci i ofiar będzie odfajkowany, a my możemy o sobie pomyśleć, że jesteśmy tacy wrażliwi i uważni. Nie chcę karykaturować takich inicjatyw, bo sam nieraz biorę w nich udział, ale to za mało. Upamiętnianie stało się zbyt łatwe, daje poczucie załatwienia sprawy, bezpieczeństwa, które nie za bardzo pasuje do takiego doświadczenia, jakim jest zagłada Żydów.

Ale w Polsce setki miejsc Zagłady nie mają nawet symbolicznej tablicy.

- Tu nie chodzi o zastąpienie upamiętnień czymś innym. To, co najtrudniejsze, ale najbardziej potrzebne, nazwałbym uobecnieniem. Kiedy chodziłem po tych wnętrzach, widziałem, że one są wypełnione teraźniejszością. I tak ma być. Ale warto w niej zrobić miejsce dla tych 300 tysięcy ludzi, którzy przewinęli się przez tamte korytarze. Podczas budowy muzeum POLIN wykopano wiele przedmiotów, przecież Muranów zbudowano na gruzach getta. Artur Żmijewski wyniósł te przedmioty - zardzewiały zegarek, nożyczki, młotek do dzisiejszych rzemieślników: zegarmistrza, krawca, szewca. Wyrwał je z muzealnych gablot, nie kazał klęczeć przed nimi jak

przed relikwiami. Ale też nie udawać, że są wciąż praktyczne, działają. Po prostu zaprosił do współczesności taicie, jakie są: zardzewiałe, uszkodzone, wybrakowane.



Co to da?

- Uobecnianie żydowskiej przeszłości jest niebezpieczne. Nie mówię nawet o poczuciu winy. To jest niebezpieczeństwo w egzystencjalnym wymiarze, nie daje zbliżyć się ranie holokaustowej. Uważam, że tej ranie nie można dać się zbliżyć. Ona ma dolegać, doskwierać, przypominać o czymś, o czym wolelibyśmy zapomnieć. Nie musimy tak się zawsze uspokajać, relaksować. Trzeba się skonfrontować z tym, co niepokojące.

Pan się konfrontuje z tym zawodowo od 30 lat.

- Lektura świadectw ludzi, którzy przeżyli Zagładę, jest gorzkim doświadczeniem zdobywania wiedzy o człowieku jako stworzeniu dość strasznym i świecie jako miejscu, w którym zło jest silniejsze niż dobro. Ale może każde poznanie jest goryczą? Jestem pesymistą integralnym, co daje mi energię do działania.

Wiedział pan, że poznawanie takich tekstów nie jest bezkarne?

- Kiedy zaczynałem je czytać w rękopisach na początku lat 90., byłem nimi zafascynowany. Wiem, że to może się wydać dziwne, ale one z jednej strony były groźne, przerażające, ale z drugiej wspaniałe, pociągające. Z czasem przyniosły poczucia zagrożenia, mrok. Nie pomagało też to, że mieszkalem wtedy na Muranowie, dzielnicy, która powstała dosłownie na gruzach getta. Wychodziłem z Żydowskiego Instytutu Historycznego na placu Bankowym i wracałem do domu tymi samymi ulicami, na których działały się te wszystkie okropności,

O jakich przed chwilą czytałem. Droga do domu to było jak schodzenie do piekła. Po jakimś czasie przeprowadziliśmy się do Konstancina, trochę odetchnąłem. Ale na Muranowie jestem stale.

Można nabrać dystansu do takich historii?

- Poczułem, że nie mogę zamienić się w płaczkę żałobną (z wiersza Miłosza), spalić się w smutku, wstydzie za to, co robili Polacy Żydom.

I co dalej?

- Pan mnie naciąga na takie wyznania... Horror, z którym się stykałem, całkowicie mnie pochłaniał, a jednocześnie obezwładniał, czułem się straszliwie zdruzgotany. Co robić, kiedy zdajesz sobie sprawę, że człowiek jest istotą złą? Że wszyscy jesteśmy w to zło uwikłani? Musiałem się nasycić tymi opowieściami, oplakać, co jest niezbędnym etapem, i pójść dalej. Uprawianie nauki daje dystans. Trzeba zastosować odpowiednie procedury analityczne, metodologię. Badacz musi zapanować nad przedmiotem badań. Nie mogłem pozwolić, aby świadectwa z Zagłady owładnęły mną bez reszty.

A gdzie widział pan jasną stronę świata?

- Przestałem wierzyć w wielkie projekty ideologiczne, religijne, społeczne. Uciekam od tego. Jasną stroną życia stało się budowanie małych, najbliższych wspólnot i cieszenie się nimi. Radość dają rodzina i przyjaciele z Centrum Badań nad Zagładą Żydów. To krąg, który jest wsparciem naukowym, ale też pomaga wspólnie nieść bagaż wiedzy o Holokauście. A nie jest łatwo. Myślę nie tyle o atakach na nas, ile przede wszystkim o tym ciężarze, który niejednemu z nas daje się we znaki, z którym trudno sobie samemu radzić, przezwyciężać depresyjne nastroje. Dlatego raz w roku jeździmy na superwizje. To była inicjatywa Basi Engelking, która jest psychologiem.

Coś jeszcze pomaga?

- Uwielbiam piwo i whisky, kocham pójść z przyjaciółmi do pubu posmakować piw rzemieślniczych, dowiedzieć się, co się dzieje, kiedy piwo leżakuje przez kilka lat w beczce po koniaku. Napięcie się dobrego alkoholu zaspokaja we mnie potrzebę zaznania przyjemności, takiej cielesnej, sensualnej. Odchodzę od spraw, którymi zajmuję się na co dzień. Lubię śledzić nowości z browarów, przeczytać, czym różni się chmiel nowozelandzki od tego z Lubelszczyzny. To taka zabawa.

Inna planeta od tej o nazwie „Holokaust”.

- Jeśli chodzi o planety, to fascynuję się też kosmosem, a także naszymi braćmi odłączonymi, neandertalczykami. No i podróże, chyba największe wrażenie zrobiły na mnie wyprawy po Kolumbii Brytyjskiej. Jazda przez niekończące się lasy, widok Gór Skalistych, dotyk cedrów, które zaczęły rosnąć jeszcze przed narodzeniem Jezusa. A marzę o wyprawie z synem do Patagonii.

Czyli wyprawy tam, gdzie nie ma ludzi.

- Raczej potrzeba rozległych przestrzeni. Ale może ma pan rację, chodzi o kontakt z przyrodą niedotkniętą jeszcze ręką człowieka, o którym nie mam przecież dobrego zdania.

Opracował: Cwi Mikulicki – Izrael